

# Stefan Herman

---

## Śmierć Sarmaty na polu bitwy : (barokowa ars moriendi)

---

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 3 (45), 139-148

---

1979

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# Roztrząsania i rozbiory

## Śmierć Sarmaty na polu bitwy (Barokowa *ars moriendi*)

W polskiej literaturze barokowej, religijnej i świeckiej, wszędzie obecne są pytania wyrażone wprost i pośrednio na temat tego, czym jest świat ziemski, czym jest człowiek, czym jest jego życie doczesne, podległe zawsze niewoli zmysłów i niechybnej śmierci. Pytania te z natury rzeczy stawiali najczęściej kaznodzieje pogrzebowi owego czasu — i taką też zwykle dawali odpowiedź:

*Świat* — „okrutnik wielki i zdrajca, rodzi i pożera, podnosi i roztrąca, obiecuje i oszukiwa”<sup>1</sup>.

*Człowiek* — nędzna łupina rzucona na bezkresy burzliwego oceanu, ustawiczny pielgrzym zdążający dniem i nocą ku swemu przeznaczeniu, aktor „odprawujący dziwną świata komedyją”, nieustanny bojownik wojujący z samym sobą i światem zewnętrznym.

*Życie* — bodaj najpiękniejsze porównanie dał mu sławny autor *Kokoszy*, Jacek Mijakowski — „Ktoś żywot nasz nazwał cieniem, ktoś dymem, ktoś snem i marą, ktoś wiatrem, ktoś bombelkiem wodnym albo ową bańką, co ukazawszy się na wodzie, tejże minuty ginie. Ktoś waporem i słabą exhalacją, niektórzy nazwali go nietrwałym kwiatkiem, inszy dzwonnym dźwiękiem, który dawszy się słyszeć, niknie, inszy błyskawicą (...), inszy równali go do wody bystro płynącej”<sup>2</sup>.

Wśród mężczyzn wiodących żywot świecki niewiele mamy jednak przykładów świadczących o tym, aby *vanitas* kształtowała ich po-

---

<sup>1</sup> P. Zabłocki: *Pielgrzymstwo Abrahama do Ziemi Obiecanej. Przy pogrzebie (...) P. Abrahama z Gołuchowa Gołuchowskiego...*, Kraków 1648, k.C.

<sup>2</sup> J. Mijakowski: *Zbożny pobyt po śmierci (...) Helżbiety Myszkowskiej...*, Kraków 1664, s. 8.

stawę w wieku młodszym i średnim, w którym Sarmata miał „swoje skronie szyszakiem przyciskać” dla dzieł twardych i gorzkich.

W setkach kazań pogrzebowych XVII stulecia nie spotykamy nikogo takiego jak Alfons Lacki, który za życia „serca swego nie przywiązywał ani do złota, ani do małżonki, ani do dzieciaków”<sup>3</sup>, którzy by tak radykalnie odpychali od siebie świat i nie pragnęli z nim żadnych związków, nawet z najbliższą rodziną.

Zwykle mamy do czynienia z ludźmi ceniącymi wysoko wszelkie ponęty ziemskiego świata, z ludźmi, którzy nawet okrucieństwo i rozwiążność cielesną łączyli z surowymi postami ku czci Marii Panny i świętych patronów, z krwawą chłostą czynioną własnemu ciału w czasie uciechy biesiadnej.

Krótkie z natury życie człowieka przedłużyć mogła na ziemi jedynie sława własnym wysiłkiem wypracowana, oprawiona w sławę przodków — jak brylant w złoto. Najłatwiejszą do niej drogę mieli oczywiście szlacheccy posesjonaci zapatrzeni we wzór rzymskiego Cyncynata, na co dzień nosiciela cnót pokojowych i wojennych, prywatnych i publicznych. One prowadziły do sarmackiego Pantheonu tych wszystkich, którzy lata trwali na służbie publicznej, rzekomo bezinteresownej, odbywali dalekie i niebezpieczne poselstwa z honorem dla Rzeczypospolitej i całego narodu lub — jak pisali ówczesni panegiryci — w każdym ciężkim dla ojczyzny czasie „nie wazyli swego garła ani majątności”. W potocznej opinii szlacheckiej XVI i XVII w. Rzeczpospolita Obojga Narodów rosła w potęgę i rozprzestrzeniała swoje panowanie dzięki „przyrodzonym” rycerskim cnotom Polaków w przeszłości, a ściślej szlachty polskiej, dla której nic to było siedem lat wojować i znosić wszystkie uciążliwości żołnierskiego życia.

Tę ofiarę składano ojczyźnie nie dla późniejszego zysku ani godności, ale wyłącznie z szlachetnej do niej miłości i pragnienia osobistej sławy rycerskiej. Taki stereotyp żołnierza polskiego z czasów minionych zastygł w legendach sarmackich XVI i XVII stulecia, służąc zwykle za uzasadnienie szlacheckich przywilejów, nawet wtedy gdy codzienne życie temu zaprzeczało. Sarmata czuł w sobie zawsze krew rycerską i choć często całe życie do potrzeby nie stawał — nakazywał w testamencie, aby był grzebany jak jego ojciec, jak dziad — „po rycersku”. Służba wojskowa odbywana na własny koszt miała odróżniać szlacheckiego posesjonata od herbowej biedoty zaciąganej „z wolnego bębna” i targowanej pospiesznie na miejskich placach i gościńcach, gdy potrzeba do tego przynaglała. „Ja co mam za cześć” — rozповідаł chełpliwie w obozie chocimskim 1621 r. kasztelan połocki Mikołaj Bogusław Zenowicz — „żem nie targowy żołdak, ale rad dla ojczyzny i wiary własny koszt i krew

---

<sup>3</sup> P. Kamieński: *Kazanie na pogrzebie (...) Jana Alphonsa Lackiego*. B.m. 1647 k. E. — 3.

ważę”<sup>4</sup>. Jeśli wierzyć innemu kaznodziei, potrzeba zdobycia wojennej sławy zawiodła do Moskwy na czele własnej husarskiej chorągwi wojewodę poznańskiego Piotra z Bnina Opalińskiego — sławnego zresztą żołnierza. Hetman Chodkiewicz, ujrzawszy go tam nieoczekiwanie, miał doń powiedzieć „Bracie masz żonę, dzieci (...) co cię zagnało w tak daleką i ciężką wojnę?”. Pierwszy pan na Wielkiej Polsce, jakby pamiętny na słowa swoich preceptorów — odpowiedział: „sławy z ręki moich wyrobionej nie miałem, przyjechałem (...) jej tu szukać”<sup>5</sup>. Odziedziczone po renesansie pragnienie sławy, także i sławy wojennej wprawiało w zakłopotanie wielu kaznodziejów i spowiedników penetrujących najskrytsze zakamarki żołnierskiej duszy, czy nie wynika ono z pychy — a więc grzechu. Należało się o nią starać dość wcześnie, bowiem rzemiosłem rycerskim — zgodnie z obiegową opinią — godziło się trudnić „do ożenku”, „do siwego włosa”, a jedynie dowódcy wyższej rangi — do późnej starości. Stary prosty żołnierz, z którym w obozie więcej było kłopotów niż pożytku, oceniany był raczej negatywnie, podobnie jak żołnierz opasy, zdolny bardziej do obracania różnem niż szablą.

Literatura XVII stulecia dostarcza wielu przykładów świadczących o tym, iż młodszy wiekiem żołnierz, pewni swej ręki i siły, dopraszali się u dowódcy, aby im pozwolono na wstępne harce z przeciwnikiem, czy na brawurowy atak w cmentarz nieprzyjaciół. O nich później mówiono w całej armii, fakt ten zapisywali kronikarze wojenni i sami bohaterowie w swoich własnych domowych seksterkach, wspominali penegiryści podobnie jak Walenty Bartoszewski:

Chwały za cnotę wiecznej człek młody nabywa,  
Gdy lata bujne w jarzmo zaprzęgiwa  
Krwawego boju.

Pod niebem gdy kto gołym lata swoje liczy,  
A nie w murowanych pałacach się ćwiczy  
Przy dworskim stroju.

Kto w posocznych szrankach rękę swą wprawuje,  
Na kark pogański mężnie następuje  
Dla wiecznej sławy.

Ten uciechy niezmiernej doznawa w starości,  
Czytając w rocznych dziejach swej młodości  
Dzielne zabawy<sup>6</sup>.

Przeciwieństwem „prawych sarmackich synów” byli ci, którym wygrażał w swym kazaniu Aleksy Dubowicz: „woli drugi z Samsonem

<sup>4</sup> J. Hasjusz: *Kazanie na pogrzebie (...) Mikołaja Bogusława Zenowicza w ekspedycyjnej wołoskiej (...) poległego*. Wilno 1622, k.C.

<sup>5</sup> F. Turski: *Kazanie na pogrzebie (...) Piotra z Bnina Opalińskiego*. Poznań 1624, k. E — 2.

<sup>6</sup> W. Bartoszewski: *Emblema cnot dzielnych (...) panów Kiszaków*. Wilno 1614, k. B.

na łonie nierządnej Dalili wczasować, woli z Domicjanem doma muchy łapać i szydłem kłuć, kiedy dym w ojczyźnie”<sup>7</sup>. Z cnót domowych pośmiertnej sławie służących mogły być również pobożne fundacje, pomoc szlachciankom ubogim oczekującym kresu swego państwa, pomoc szlacheckiej „braci pomniejszej”, której domy kładły się pod ciosami losu, wspieranie żołnierzy kalekich zebrzących z konieczności wspólnie z zawodowymi wagusami, łagodzenie sąsiedzkich waśni, sporów majątkowych ciągnących za sobą długie procesy w trybunałach i zbrodnie rodzinne lub sąsiedzkie. Wielu kaznodziejów i poetów XVII stulecia, a zwłaszcza pierwszej jego połowy, prawdziwej bitwy nigdy nie widziało, stąd też w procesie twórczym wyobraźnia autorów kreowała ją niekiedy na sposób teatralny i zupełnie daleki od wojennej rzeczywistości Ukrainy, Pomorza i Litwy. „Niemasz tam melancholiej — pisał Adam Makowski — ale ustawiczna dobra myśl i wesołe: one trąby, kotły, bębny, surmy, chorągwie, krzyk, strzelba, jakieś gonitwy, jakieś igrzysko, teatrum, krotofile ze wszech widoków najforemniejsze, któżby się tam bardzo rad nie stawił”<sup>8</sup>. Łatwo zauważyć, że zachodzi tu pomieszanie wyobrażeń o wojsku autora *Żywota człowieka poczciwego* z wyobrażeniami i upodobaniami barokowymi, typowo teatralnymi. Dla Makowskiego walka na polu bitwy jest tylko igraszką, zabawą, teatralnym widowiskiem pełnym barwy i ruchu. Ulegała zatarciu granica między bitwą jako spektaklem a wojenną sceną życia.

Inaczej widzieli wojnę jej uczestnicy i świadkowie: żołnierze-poeci, żołnierze-pamiętnikarze, kaznodzieje obozowi, a także ci poeci — jak Wacław Potocki — którzy choć w danej wojnie nie uczestniczyli (Chocim 1621), mieli jednak za sobą własne doświadczenia wojenne. Mówi się często, że literatura siedemnastowieczna jest nieopisowa — i rzeczywiście nie wypracowała ona sztuki szerszego ujmowania wojennego pejzażu czy zbiorowych działań żołnierskich mas wrzęgniętych w tryby wojennej maszyny i posłusznym skinieniom hetmańskiej ręki, czapki czy buławy. Najczęściej mamy w niej kolejne obrazy działań pułków, rot, chorągwi i żołnierskie przewagi indywidualnych bohaterów:

Pac zaś, wódz wielki, wychowaniec prawy  
 Marsa srogiego, widząc takiej sławy  
 Otwarte pole, jak piorun z obłoku  
 Spadł na nich z boku  
 Dopieroż gdy się żołnierz włamał zbrojny  
 Tam się nacieszył, kto był chciwy wojny,

<sup>7</sup> A. Dubowicz: *Wyprawienie osoby...* (Janusza Skumina Tyszkiewicza). Wilno 1642, k. B.

<sup>8</sup> A. Makowski: *Itinerarium albo wyjazd na wojnę moskiewską (...)* Roku Pańskiego 1633, Kraków b.d., k. A — 2.

Tam sytą mordu, tam krwią napojona  
Sroga Bellona<sup>9</sup>.

Tu Zbigniewa Morsztyna, znanego piewcę żołnierskiego losu, zachwyca nie tyle bitewny szczegół, co dynamizm litewskiego ataku oraz groza wojennej rzezi dosięgająca bodaj w równym stopniu zwycięzców i zwyciężonych, wszak i ci bronili się z szałem osaczonego wokół zwierzęcia.

Cechy wrogów uosabiały zwierzęta, które w literaturze chrześcijańskiej miały od czasów średniowiecza ustaloną symbolikę, np. w *Kodeksie Behema*. Żołnierz nieprzyjacielski był tylko „psem dzikim, wilkiem, bazyliżkiem, gadem śmierdzącym”. Wojownik sarmacki bywał natomiast „orłem górnolotnym, lwem nieustraszonym lub Hektorem, Achillesem, Scewolą, Świętym Jerzym”. Heroizm świętych męczenników wydawał się wciąż wzorem żywym, stawiali go przed oczyma współczesnych zwłaszcza kaznodzieje rozczytani w *Żywotach świętych* Piotra Skargi. „Nie bał się Polikarpus na plac wychodzący — mówił F. Birkowski — albowiem słyszał od Anioła głos wdzięczny: mężnym bądź Polikarpie. A gdy kaci chcieli go gwoździami przybijać, aby dostał ogniowi, którym miał być palony, nie potrzeba gwoździ (rzekł), ja ogień ten dobrowolnie wytrwam”<sup>10</sup>. Był to jednak heroizm tylko bierny, sycony myślą nie o sławie na ziemi, lecz o szczęściu w świecie metafizycznym, łączono go przeto z heroizmem płynącym z pobudek ziemskich, patriotycznych i takie bohaterstwo o podwójnym wymiarze dopiero świeciło blaskiem nadzwyczajnym.

Szarży i przeciętności ta epoka nie lubiła, toteż w nastroju grozy, w blaskach płomieni, w czerwieni krwi zdawał się być najpiękniejszy brawurowy atak jazdy. Wtedy właśnie widziano dochodzący do granic możliwości dynamizm żołnierskich działań, odwagę i męstwo ludzi, wysiłek koni. Plac bitewny usłany trupami, wykrzywione od wściekłości żołnierskie twarze, broczące rany, pot zmieszany z kurzem — wszystko to zarazem przybierało cechy brzydoty patetycznej. Żołnierska głowa zwisająca z mocno nadciętej szyi, ciągnące się za żołnierzem wnętrzności; resztkami sił czołga się po ziemi, aby umrzeć wśród swoich, przekleństwa ciskane na wroga — to właśnie przykłady nobilitacji estetycznej tego, co dla wcześniejszej epoki wydawało się odrażające, czego nawet średniowiecze w pełni nie aprobowało, choć ludzi tamtego czasu przyzwyczajano z ciekawością patrzeć na ćwiartowanie świętego. Żołnierz polski tego czasu, zbierający wokół siebie nawet najgęstsze żniwo śmierci, raczej nie przeżywa żadnej refleksji etycznej nie tylko wtedy,

<sup>9</sup> Z. Morsztyn: *Sławna wiktorya nad Turkami (...) roku 1673*. W: *Muzea domowe*. T. II. Warszawa 1954, s. 115.

<sup>10</sup> F. Birkowski: *Kantymir basza porażony...* W: *Mowy pogrzebowe i przygodne*. Warszawa 1901, s. 118.

gdy jego przeciwnikiem był Tatar czy Turek, ale również prawosławny, Rusjanin lub Kozak. Jan Chryzostom Pasek i jego towarzysze, nocując na pobojuwisku, obaj bez najmniejszych skrępowań podłożyli sobie pod głowę „tłustego” trupa — miast poduszki. Słodycz umierania za ojczyznę, znana już dobrze starożytności np. ze słów Horacego (*Dulce et decorum est pro patria mori*), przeistoczyła się w okresie wczesnego chrześcijaństwa w słodycz umierania za wiarę Chrystusową. Tę ostatnią chwilę życia pierwszych męczenników (obok scen martyrologicznych) upodobała sobie szczególnie średniowieczna hagiografia, uważając, że tego rodzaju opisy „w cudowny sposób przenikają w głąb ludzkiego serca, dają prawdziwą rozkosz uwrażliwionej na piękno duszy, najskuteczniej zachęcają czytelnika bądź słuchacza do ich naśladowania”.

W polskiej literaturze barokowej spotykamy zazwyczaj wszelkie możliwe kontaminacje obu tych postaw, co w dużej mierze wynikało z charakteru wojen prowadzonych przez Polskę, wojen najczęściej obronnych i toczonych z narodami nie uznającymi nad sobą zwierzchnictwa rzymskiego papieża lub będącymi wyznawcami Proroka. Pogańskie i innowiercze sąsiedztwo siedemnastowiecznej Rzeczypospolitej sprzyjało wybitnie szerzeniu się hasła patriotyczno-religijnych, w imię których Sarmata-katolik dobywał szabli w kościele i na polu walki — za co sławiły go osobno słowa kaznodziejów i panegirystów, jako tego, który ojczyźnie i wierze nigdy upaść nie pozwoli, własnym trupem zagrozi nieprzyjacielowi drogę do ojczyzny. Ponad te wartości — jak pouczali moralści tamtego czasu — nie należy wynosić już niczego, wszak wszystko, cokolwiek człowiek może posiadać, „pochodzi od Boga i ojczyzny”. O tych dobrodziejstwach żadnemu dłużnikowi zapomnieć nie wolno. Stąd też świętość wojny i patos żołnierskiej śmierci.

O świętości wojny mówili z ambon liczni kaznodzieje, potwierdzała ją także „cudowna pomoc” udzielana z nieba polsko-litewskiej armii przez istoty boskie oraz świętych polskich, którzy w wieku XVII rozsiadali się licznie wokół boskiego tronu. W chwilach dla narodu niebezpiecznych widziano ich wielokrotnie ponad kurzem i dymem pół bitewnych z błogosławiącym gestem ręki lub mieczem i krzyżem zwróconym w stronę wroga. Kto ufał opiece świętych rodaków, tego bardziej omijały złe przygody w czasie bitwy, tego głos łatwiej dochodził do boskiego tronu, choćby był już tylko szeptem, tchnieniem ostatnim, cieniem myśli niedokończonych. Naukę o tym, jak *miles catholicus* powinien bez żalu rozstawać się z życiem, rozwinęli w okresie potrydenckim jezuita. Pierwszym z nich był Antonio Possevino jeszcze jako rektor kolegium we francuskim Awinionie, autor traktatu *Il Soldato Cristiano* (1569). Utwór ten napisany został jako swego rodzaju przewodnik religijno-moralny dla żołnierzy armii papieskiej, która wyruszała do Francji, aby udzielić pomocy stronie katolickiej walczącej z hugenotami. W zamierzeniu

Possevina przewodnik ten miał również służyć każdej armii katolickiej walczącej z armią turecką i „innymi niewiernymi”. Mówiąc o tym rodzaju żołnierskiej powinności, nawiązuje wyraźnie do średniowiecznej hagiografii (św. Cyprian) i wyjaśnia, na czym polega słodycz śmierci, oczywiście gdy się jest do niej przez kapelanów obozowych przygotowany — „zamykają się oczy na ziemskie cierpienie, ale otwierają na niebo. Zadana jest śmierć, ale następuje nieśmiertelność. Kto jest zabity, świat ma odebrany, ale ma w zamian raj. Jak wielka jest to godność wyjść stąd radosny, uwolnić się od klęsk i trosk, zamknąć oczy w jednej chwili i otworzyć je dla widzenia Boga i Chrystusa”<sup>11</sup>.

Na utworze Possevina wzorował Skarga swoje *Żołnierskie nabożeństwo* (1606), ale autor *Kazań sejmowych* nie podzielał w pełni ani Possewinowej nienawiści do wroga, jego niezwyklej krwiożerczości, ani też wyraźnego kosmopolityzmu właściwego dla zakonu Loyoli. Żołnierz Skargi podejmował się dzieł wojennych dla boskiej chwały” i „dla ojczyzny miłej” (która w jego oczach stawała się coraz bardziej katolicka), dla nich też z jednakowym oddaniem składał najwyższą ofiarę — tłumacząc ją sobie w sposób następujący:

„Izali nie lepiej w dobrym baczeniu i zdrowiu i rozprawie pięknej (...) a nie darmo ani lada jako umrzeć, ale za Bożą cześć, za Ojczyznę, za miłą bracią tej trochę krwi Panu Bogu ofiarować, a za nią wieczne królestwo sobie kupić (...) Mogę być żyw kilka i kilkanaście lat i w pierwsze grzechy a w nowe insze i gorsze wpaść: teraz się im koniec stanie (...)”<sup>12</sup>.

U Skargi motywacja żołnierskiej śmierci została w porównaniu z Possevinem znacznie rozszerzona (Bóg, ojczyzna, brać miła), nie było tu jednak jeszcze tych wartości, które cenili nie mniej żołnierze sarmacki, spadkobierca cnót rzymskich. Późniejszy obrońca chrześcijańskiego przedmurza doda do tego jeszcze doskonałość ustrojową Rzeczypospolitej, jej rolę wśród państw katolickiej Europy, własne przywileje wynoszące go ponad moskiewskich bojarów i niemieckich baronów, własny honor rycerski, pragnienie osobistej sławy wojennej i także potrzebę utrzymania wojennych tradycji „sarmackiego narodu”.

Literatura barokowa — przeciwstawiając stale prawych synów Rzeczypospolitej tym, którzy unikali wojennych trudów i lepiej czuli się „w tańcu niż w szańcu”, którzy nigdy nie zamienili jedwabi i atlasów na stalowy pancerz — operowała też stałymi pojęciami „śmierć przystojna”, „śmierć haniebna”. Oczywiście „przystojna” była śmierć wysłużonego żołnierza, który lata stare dożywał w domu rodzinnym, ale nie w tym stopniu, co wcześniejsza na polu

<sup>11</sup> *Il Soldato christiano...* Macerata 1583, s. 20.

<sup>12</sup> P. Skarga: *Żołnierskie nabożeństwo*. W: *Kazanie przygodne*. T. V. Połock 1809, s. 297—298.



walki. Stąd też byli bohaterowie wielu wojen, dożywszy sędziwego wieku, żalowali niekiedy, że przyjdzie im umrzeć śmiercią nie taką, jakiej pragnęli.

Tę nutę z pewnością szczerego żalu starego wojownika uchwycił w swoim wierszu Wacław Potocki:

Czemu nie raczej w ogniu i w marsowym huku  
Z ruśniceś mię tam albo nie dosięgła z łuku,  
Kiedym w piersiach pogańskich aż do samej gałki  
Kruszył drzewa na trzaski i drobne kawałki,  
Gdzieś jako ostrożęby sierp bujała w zbożu.  
Zajrzałaś mi tej sławy, wolałaś na łożu,  
Z tak wielu złych okazji dawszy wynieść żywcem,  
Zadawiasz mię gorączką jednak z leniwcem.  
Nie chciałaś mi dawnego dotrzymać parolu:  
Godzienem był pod niebem, godzien legać w polu,  
Nie w trumnie, nie pod strzechą umrzeć, nie w słomie,  
Lecz kto wieczne swym zdaniem wyroki przełomie?<sup>13</sup>

Śmierć najbardziej przystojna miała przyjść do żołnierza na polu bitwy, gdy był w pełni swej wojennej chwały, wtedy bowiem jego imię i rycerskie przewagi zapisywały się trwalej w pamięci rodaków. Ten rys szlacheckiego myślenia wydaje się wręcz nieprawdopodobny na tle naturalnego pragnienia życia, ale potwierdzają go również niektóre kazania pogrzebowe wyraźnie stroniące od tonów panegirycznych.

Nie ma też podstaw, by sądzić, że przywodziła ich do tego zwykła desperacja czy pragnienie śmierci męczeńskiej w walce z Turkami — o jakiej miał podobno marzyć wspomniany już Piotr z Bnina Opaliński. Śmierć desperacka nie znajdowała nigdy uznania u kaznodziejów, była zawsze równana ze śmiercią samobójczą. „Na marsowym błoniu”, „pod dachem niebieskim” przy hukach dział i jękach konających, gdy ostatnim blaskiem oczu oglądał jeszcze załamanie się nieprzyjacielskiego frontu — żołnierz sarmacki umierał najprzystojniej. Dostojniej było umierać na koniu niż na ziemi, milej wśród swoich niż wrogów, od ciosu godnego przeciwnika, a nie od strzały wypuszczonej z tatarskiego łuku. Taką śmierć znalazł na chocimskich polach wspomniany wcześniej Mikołaj Bogusław Zenowicz: „kopią swą podniósł i przez gęstych pogan szeregi tam i sam się przebijał, głowę miłą do swych unosząc cudownym męstwem. Już z szyszaka i konia rozbity, już na śmierć skory, już obwisła szczeka i wyciekła śledziona wlokący. Lwi to przymiot i płynące z siebie trzewa rwać a placu się wolności dobijać i sobie wolnym umierać”<sup>14</sup>.

<sup>13</sup> W. Potocki: *Żołnierzowi (na łóżku) zmarłemu*. W: J. Kapuścik, W. J. Podgórski: *Poeci żołnierzom 1420—1945. Antologia wierszy i pieśni żołnierskich*. Warszawa 1970, s. 146.

<sup>14</sup> Hasjusz: *op. cit.*, k. C — 2.

Ocenie estetycznej, w guście epoki, poddano tu w zasadzie wszystko; kasztelan połocki piękny był wcześniej w swojej szarży na turecką czerń, piękniejszy, gdy ranny z niej powracał do swoich, najpiękniejszy, gdy ugodziły go dalsze razy nieprzyjaciół, gdy z ciekącymi wnętrzościami i obwisłą szczęką dobijał się „placu wolności”, aby na nim dopiero umierać. Im bardziej potęgowała się naturalistyczna brzydota tej sceny, tym wyraźniej przybierała dla autora estetyczne walory. Zenowicz jest dla kaznodziei przykładem człowieka, który nie tylko posiadał sztukę życia — ale i sztukę przystojnego umierania.

Spójrzmy jeszcze na jeden przykład śmierci żołnierza przedstawiony również zgodnie z zasadami sztuki retorycznej i barokowej estetyki. Wzorem jest dowódca oblężonego zamku. „Nie na łożu, ale na murach zamku sobie powierzonego, nie w pościeli miękkiej, ale we krwi swojej własnej skonał: nie dzwony śmierć jego ogłaszały, ale ogromny huk walnej strzelby: nie świeca śmiertelna, ale straszne ognie i błyskawice z dział burzących umarłemu przyświecały”<sup>15</sup>. Do takich swych synów przychodziła często Matka—Ojczyzna, tuliła ich do siebie i opłakiwała.

Inaczej wszakże przystało umierać prostemu żołnierzowi czy dowódcy niższej rangi, a inaczej wielkiemu hetmanowi. Siedemnastowieczna dyskusja na temat, czy hetman powinien uczestniczyć w bitwie, przywołała do konkluzji, że nie walka bezpośrednia jest jego funkcją, choćby do niej był najlepiej przygotowany, ale zadania wyłącznie dowódcze. Słuszne wydawało się jednak przekonanie, wynikające z dożywotności tego urzędu, że hetman powinien umierać na polu bitwy.

Czem dobrego hetmana kiedyś zalicono:

Nie w kącie, nie na łożu, rozlegać się winien,  
Ale hetman w poboju umierać powinien. —

pisał autor *Przeważnej legacyi*, Samuel Twardowski. Tak właśnie zmarli obaj wielcy hetmani, koronny i litewski — Stanisław Żółkiewski i Jan Karol Chodkiewicz, opromienieni pośmiertną chwałą przez wielu kaznodziejów, poetów i pamiętnikarzy. Inna jednak rzecz umierać z przyczyn naturalnych, a inna ginąć od ciosu wroga, toteż „stojąc godzi się umierać hetmanowi” — miał powiedzieć wódz wyprawy cecorskiej, gdy zbliżała się jego ostatnia konieczność.

Tak również umierał pod Kannami konsul rzymski Lucjusz Emiliusz. Kaznodzieje siedemnastowieczni o śmierci żołnierza mówili z należnym jej respektem zwykle tylko wtedy, gdy chodziło o żołnierza katolika. Rzadko poczuwano się do tego obowiązku w wy-

<sup>15</sup> F. Zamoscen: *Zawodnik poczwórny chrześcijańskiego biegu...* Lublin 1636, k. C — 3.

powiedziach dotyczących żołnierzy innych wyznań. Takim zgrzytem niemiałym i dla tamtych czasów zęgnął poległych pod Chociąmem innowierców Fabian Birkowski — uczestnik tej kampanii. „Gdyście tedy od szabli tureckiej albo od niewczasów obozowych zwłaszcza od głodu niesłychanego umierali, wychodziły dusze z ciał waszych nie jako gwiazdy, ale jako głównie ogorzałe czarne, upadały na ziemię i rysowały onę (...)”<sup>16</sup>.

Żołnierz innowierca umierał bez patosu; kaznodzieje widzieli na jego twarzy eschatologiczny strach spowodowany obawą o przyszłość duszy w świecie metafizycznym. Przed oczyma jawiło mu się wówczas całe jego grzeszne życie, pełne bluźnierstw wszelkich przeciwko wierze rzymskiej i samemu papieżowi, któremu nigdy nie szczędził wyzwisk i obelg, odmawiał świętości jego osobie i drwił sobie z jego prawa do dziedzictwa Piotrowego. Z tej też przyczyny jego dusza — jak widzi ją Birkowski — była niczym innym, jak tylko „głównią czarną”, znamieniem piekła naznaczoną. I choć próbowała się wzbijać ku niebu, to przecież był to jej trud zupełnie daremny, bo niebo jest światłością i ciągnie do siebie tylko światłość.

W momencie śmierci obrońcy krzyża zapalała się na niebie jego gwiazda złocista, aby świecić blaskiem niegasnącym aż „do skończenia świata”. Zgodnie z ówczesnym poczuciem hierarchii największe gwiazdy zapalało niebo pamięci wojowniczych monarchów i sławnych wodzów. Taką nową światłość dojrzał na niebie kaznodzieja jezuitski (Jakub Olszewski) po śmierci Zygmunta III Wazy, który istotnie zwiódł wiele wojen, tylko że nigdy nie umiał zapewnić im koniecznych podstaw materialnych. Nieco mniejsze były gwiazdy pobożniejszych magnatów, których nie ponosił zbyt rankor do króla i w porze do tego właściwej swoje skronie szyszakiem przyciskali a w czasach maconych domowymi zamieszkami radzi pokój czynili. Te najmniejsze gwiazdy zapalano dla wiecznej pamięci żołnierskiego pospólstwa — z nich właśnie składała się światłość Mlecznej Drogi.

Stefan Herman

### „Ten kto umrze rodzi się czy kona”

*Thema regium*, nowo wydany nakładem „Czytelnika” tomik poetycki J. M. Rymkiewicza, czytać należy tak w

<sup>16</sup> F. Birkowski: *Bogu w Trójcy św. Jedynemu podziękowanie za uspokojenie Korony...* W: *Mowy pogrzebowe i przygodne*. T. II. Warszawa 1901, s. 250.